Rok XXIV. We Lwowie, dnia 19. października 1917. Nr. 42.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna 19·— K. półroczna 7·— „ kwartalna 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 54.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Encyklika Ojca św. Benedykta XV. o głoszeniu słowa Bożego [1]).

Gdy Jezus Chrystus, umierając na ołtarzu krzyża, dokonał odkupienia rodzaju ludzkiego i wszystkich ludzi chciał przywieść do tego, żeby przez posłuszeństwo Jego przykazaniom stali się uczestnikami żywota wiecznego, wybrał jako drogę do tego głos swoich posłańców, którzy mieli ogłaszać całej ludzkości, w co trzeba wierzyć i co czynić dla zbawienia wiecznego. „Podobało się Bogu przez głupstwo przepowiadania zbawić wierzące“ (I Kor. 1, 21). Wybrał więc Apostołów, wlał im przez Ducha świętego te dary, odpowiadające tak wzniosłemu zadaniu i powiedział do nich: „Idąc na wszystek świat, opowiadajcie Ewanielię wszemu stworzeniu“ (Mar. 16, 15). To opowiadanie odnowiło oblicze ziemi. Bo jeżeli wiara chrześcijańska wyprowadziła umysły ludzkie z wielorakich błędów do prawdy, a serca ich z brudu występków na wyżynę wszelkich cnót, to dokonała tej przemiany przez głoszenie słowa Bożego: „Wiara z słuchania: a słuchanie przez słowo Chrystusowe“ (Rzym. X, 17). Według zaś woli Bożej wszystko utrzymuje się przez te same przyczyny, które je powołały do bytu; a więc przepowiadanie mądrości chrześcijańskiej ma wedle zamiaru Bożego służyć także do dalszego prowadzenia dzieła zbawienia wiecznego i zalicza się słusznie do spraw najważniejszych i najpoważniejszych. Ku niemu więc musimy zwrócić Naszą troskę szczególniejszą i Nasze myśli, zwłaszcza gdy się zdaje, że ono straciło nieco ze swojej pierwotnej czystości, a tem samem i swojej skuteczności.

W rzeczy samej -- Czcigodni Bracia — przyłącza się ta potrzeba do innych niedomagań naszych czasów, które Nas przed innymi wszystkimi niepokoją: kiedy zwrócimy uwagę na zastęp tych, którzy poświęcają się głoszeniu słowa Bożego, widzimy, że liczba ich jest tak wielka, jak może nigdy dawniej; jeżeli zaś zastanawiamy się nad tem, jakie są obyczaje i urządzenia narodów, jakie ich życie publiczne i prywatne, widzimy, że lekceważenie i zaniedbanie wszystkiego, co jest nadprzyrodzone, wzmaga się z dnia na dzień powszechnie; nieznacznie odstępuje się od surowości cnoty chrześcijańskiej i pogrąża się coraz głębiej w życiu występnem pogan.

Prawda, że przyczyny tych smutnych objawów są różne i wielorakie, ale niezaprzeczenie trzeba ubolewać i nad tem, że głosiciele słowa Bożego nie zwalczają tego złego ze skutkiem pożądanym. Czyż słowo Pańskie utraciło już tę siłę, którą mu przypisuje Apostoł, kiedy je zowie żywem i skutecznem i ostrzejszem niż wszelki miecz obosieczny? Czyż ostrze tego miecza stępiło się przez długie używanie? Nie, jest to z pewnością winą sług, którzy nie używają należycie tego miecza, jeżeli on nie wszędzie wywiera swój skutek. Bo niewątpliwie nie można powiedzieć, że Apostołowie w lepszych żyli czasach niż są nasze. Gotowość do przyjmowania nauk Ewangelii nie była wtedy większą, a opór przeciw prawu Bożemu mniejszym jak dzisiaj.

Świadomi więc Naszego urzędu apostolskiego i zachęceni przykładem obu Naszych ostatnich Poprzedników, uważamy ze względu na powagę sprawy za Nasz wyraźny obowiązek starać się jak najgorliwiej o to, żeby opowiadanie słowa Bożego było znowu dostosowane do tej normy, którą ma się kierować według woli Pana naszego Chrystusa i według postanowień Kościoła.

Najpierw musimy, Czcigodni Bracia, zapytać się, jakie to przyczyny powodują zbaczanie z dobrej drogi; zdaje się, że one dadzą się sprowadzić ostatecznie do trzech: do wyboru nieodpowiednich kaznodziejów, do błędnych celów i zamiarów w wykonywaniu urzę-

[1]) W nrze 30 G. K. z r. b. podaliśmy główną treść tej encykliki z kilku uwagami wyjaśniającemi; teraz zamieszczamy ją w całości we własnym przekładzie. *Red.*

du kaznodziejskiego, do błędnego sposobu tegoż wykonywania.

Według nauki Soboru Trydenckiego jest urząd kaznodziejski właściwym urzędem Biskupów. (Sess. XXIV, De Ref. c. IV) i Apostołowie, których następcami są Biskupi, uważali właśnie głoszenie słowa Bożego za najważniejsze swoje zadania. Tak mówi Paweł: „Chrystus nie posłał mię chrzcić, ale Ewanielię przepowiadać“ (I Kor. 1, 17), a inni Apostołowie oświadczyli: „Nie jest rzeczą słuszną, abyśmy zaniedbywali słowa Bożego, a obsługiwali stoły“ (Dz. Ap. 6, 2). Ponieważ jednak zarząd dyecezyi obarcza Biskupów licznemi troskami i dlatego nie mogą oni zawsze i wszędzie wykonywać osobiście tego właściwego sobie urzędu, więc muszą go także innym poruczać. Ktokolwiek więc oprócz Biskupów sprawuje ten urząd, czyni to niewątpliwie w zastępstwie Biskupa. — Pierwszy więc przepis ma orzekać: nikomu nie wolno na własną rękę podejmować się urzędu kaznodziejskiego, ale każdy potrzebuje do tego posłannictwa prawowitego, którego nikt inny udzielić nie może, tylko Biskup: „Jako będą przepowiadać, jeśliby nie byli posłani?“ (Rzym. X, 15). Bo posłani byli Apostołowie, posłani przez Tego, który jest najwyższym Pasterzem i Biskupem dusz naszych (I Piotr. 2, 25); posłani byli owi 72 uczniowie; a także Paweł, chociaż postawiony przez Chrystusa jako naczynie wybrane, aby Jego imię nosił przed pogany i króle (Dz. Ap. 9, 05), przecież dopiero wtedy objął swój urząd apostolski, gdy starsi, posłuszni poleceniu Ducha świętego: „Przeznaczcie mi Szawła do dzieła“ (ib. 13, 2), wysłali go przez włożenie rąk. I taki był zwyczaj stały Kościoła pierwotnego: czy to byli kapłani wybitni, jak Orygenes, czy późniejsi Biskupi, jak Cyryl jerozolimski, Jan Chryzostom, Augustyn i inni Doktorzy Kościoła: oni wszyscy poświęcali się kaznodziejstwu tylko po otrzymaniu do tego pełnomocnictwa od swego Biskupa.

Dziś jednak, Czcigodni Bracia, zdaje się, że inny nastał zwyczaj. Niemało jest mowców kościelnych, do których możnaby zastosować skargę Pana u Jeremiesza: „Nie posyłałem proroków, a oni biegali“ (Jerem. 23, 21). Komukolwiek spodoba się, czy to dlatego, że ma przyrodzone uzdolnienie umysłowe, czy z innych powodów, podjąć się „służby Słowa“, znajdzie on łatwo przystęp do kazalnic kościelnych, jak gdyby do areny zapasów, na której każdy może ćwiczyć się według upodobania. Takie nadużycia musicie starać się nareszcie usunąć, Czcigodni Bracia; ponieważ wy jesteście odpowiedzialni przed Bogiem i Kościołem za pokarm, podawany waszej owczarni, więc czuwajcie nad tem, żeby nikt bez waszego nakazu nie wcisnął się do niej i nie prowadził owiec Chrystusowych według własnego zapatrywania na pastwisko. Nikt więc odtąd nie powinien w waszych dyecezyach głosić kazań bez waszego wezwania i waszej aprobaty.

(C. d. n.) **X. P.**

Jakie zadania czekają duszpasterza w czasie powojennym?

Jak i przed wojną — odmienne będą zadania duszpasterza w miastach wielkich, odmienne na wsi i w małych miasteczkach. Tu chcę zastanowić się tylko nad zadaniami duszpasterza po wojnie na wsi — i w małem miasteczku. Jednak różnice pastoryzacyi są tu tak niewielkie, że możemy śmiało sprowadzić kwestyę do wspólnego mianownika.

O ile zmieni się miasteczko i wieś po wojnie, — o ile więc też wyłonią się nowe sfery pracy dla duszpasterza?

a) Żołnierze wrócą z wojny;

b) Wrócą: chorzy, inwalidzi;

c) Przybędą w znaczniejszej liczbie sieroty „wojenne“;

d) W poważnej liczbie przybędą ubodzy, zrujnowani przez długo trwającą wojnę;

e) Odżyją powoli dwaj nieprzyjaciele przedwojenni: żyd i karczma.

Ad a). W tyglu wojennym, który z różnych powodów do piekła istotnie przyrównanym być może, przejść musiał każdy żołnierz dużo bardzo wstrząśnień i zmian, odbijających się widocznie na jego organizmie fizycznym i duchowym.

Głównie o ten drugi punkt chodzi.

Jakie są najgłówniejsze kategorye tych zmian i wstrząśnień?

I. Najżywiej i najgłębiej nas obchodząca zmiana tyczy się sfery wiary i moralności.

Stykanie się z innowiercami, wyczerpanie psychiczne pod wpływem przygnębienia, rozdzierającej serce tęsknoty, rozpaczy, poczucia krzywdy doznanej — spowoduje niejedną szczerbę w tej budowie, na którą złożyło się wychowanie w domu katolickim, nauka religii, słuchanie kazań.

Szczerbom tym na imię:

1) indyferentyzm i osłabienie w wierze;
2) brak zaufania do duchowieństwa;
3) mędrkowanie;
4) opuszczenie się, zaniedbanie moralne.

Ad 1. Wobec tego narzuca się cały szereg zadań w kierunku przeciwdziałania naleciałościom wojennym.

Na pierwszem miejscu intenzywna praca w kierunku podniesienia ducha wiary. A zatem: więcej (przedewszystkiem) trudu wkładać musimy w pogłębianie zasad wiary przez sumienną katechizacyę, praktyczne kazania katechetyczne, a nawet, o ile to możliwe, popularne wykłady z zakresu religii.

Jeżeli już przed wojną stwierdzać musieliśmy ubytek mężczyzn w murach kościelnych, — to po wojnie ten procent potroi się przynajmniej. Mniej mężczyzn wogóle zostanie, a wielu z tych, co wrócą, trzeba będzie nieraz wprost nawracać, a wszystkich odnawiać duchowo. Będzie to praca bardzo trudna, wymagająca dużo energii, a zarazem delikatności ujęcia i planu. Jednak będzie to praca pierwszorzędnego i najdonioślejszego znaczenia. To, co się u Niemców stało dyrektywą odrodzenia katolickiego życia, to i u nas

musi się wysunąć na pierwszy plan i stać się hasłem naszem powojennem: „Katholische Männer heraus!".

Ad 2. Bardzo trudną również będzie w wielu wypadkach sprawa z przywróceniem dawnego zaufania do księży. Może się mylę, ale sprawa ta będzie prawie tak trudną, jak uzdrowienie duszy, która przez złe towarzystwa straciła niewinność i delikatność sumienia.

Zaprzeczyć się nie da, że dla nas kapłanów lud nasz i mieszczaństwo małomiejskie miały bardzo dużo czci religijnej, że nas uważały — mimo wszystko — za osoby nietykalne. Tymczasem na wojnie ociera się nasz żołnierz tak często o ludzi niewierzących, o robotników wolnomyślnych, o żydów czasem — i powoli dowiaduje się tego lub owego, przy pomocy drugich zaglada za kulisy, poczyna trochę lekceważyć sukienkę duchowną, a potem na dobre od niej się odwraca. Już dosyć takich przykładów przykrych widzieć było można wśród urlopowanych. Może niejedna skarga poczciwej żony obiła się i o nasze uszy.

W tym kierunku przeciwdziałać trzeba będzie przedewszystkiem większą uprzejmością wobec tych, co od nas oddalać się będą, — bezinteresownością w każdym zakresie, posuniętą do możliwie dalekich granic, bo w tej materyi drażliwość po wojnie się wzmoże.

Ad 3. Mędrkowanie, uchylanie się z pod wpływu księży będzie również dawało się odczuć bardzo poważnie w okresie powojennym.

Trzeba będzie się z tym prądem liczyć, ująć go, wyznaczyć mu koryto i poprowadzić go poprzez dobrze urządzone i prowadzone czytelnie parafialne czy związkowe, odczyty i wykłady popularne w domach parafialnych, czy lokalach stowarzyszeń katolickich. Tam, głównie przez dobrze pokierowane dyskusye sprostuje się, wyświetli bardzo wiele, ugruntuje niejedno.

Nie ulega kwestyi, że moment apologetyczny trzeba będzie uwzględnić poniekąd i w kazaniach. Dobrze będzie, gdy w konfesyonale zachęci się do czytania odpowiedniej broszury czy książki. („Głosy katolickie" — z lat dawniejszych wiele bardzo materyału przystępnego mogą dostarczyć). Dobrze będzie, gdy się śmielszym wskaże drogę na plebanię czy wikaryówkę — po poradę.

Ad 4. Najboleśniejsze rany to te, które wielu żołnierzy przyniesie prawdopodobnie — pod względem moralnym, pod względem czystości obyczajów.

Ta gangrena moralna, ten „namuł" zepsucia po odpływie wojny — to będzie najtrudniejszy punkt w pastoryzacyi lat najbliższych.

Przeciwdziałać trzeba będzie ożywianiem pobożności, szczególniejszą opieką nad życiem rodzinnem, pouczaniem — nawet — data occasione — o chorobach wenerycznych.

By zabiegi na tem polu cieszyć się mogły powodzeniem odpowiedniem do ważności sprawy, trzeba będzie stanowczo więcej zwrócić uwagi na należyte prowadzenie związków katolickich, bo tam wpływ nasz sięgnie dalej i trafniej wymierzony będzie niejeden cios ochronny, stosowniej podane lekarstwo.

II. Pod względem zapatrywań politycznych i społecznego credo — niejeden żołnierz przejdzie metamorfozę. Trzeba się z tem liczyć, że wojna rozluźnia nie tylko obyczaje, ale i poglądy na życie, państwo i społeczeństwo. Kierunek radykalny zbiera obfite plony z posiewu wojny.

Tem więcej powinniśmy dlatego przy organizacyi tych, których mamy jeszcze w rękach, liczyć się z fermentem powojennym, w danej chwili przeciwdziałać i domorosłym radykałom przeciwstawiać wyrobionych i uświadomionych katolików.

Ad a). Przez jakiś czas po wojnie pozostanie po niej żywa pamiątka w chorych, kalekach, inwalidach i dodatkowej opieki będą potrzebować te pozostałe po przejściu huraganu rozbitki.

Obsługa szpitali — domów rekonwalescentów — szkół zawodowych dla inwalidów...

Wszędzie tam powinniśmy być!

Ad b). Wojna, odbierając w tylu wypadkach ojca, a niejednokrotnie i matkę, narzuca tem samem kwestyę opieki nad dzieckiem, przedewszystkiem nad dzieckiem — sierotą.

Pod hasłem „wieku dziecka" rozpoczął się wiek XX. By naprawdę był wiekiem podniesienia moralnego dzieci, my winniśmy dopomódz. Przytułki dla dzieci opuszczonych i sierót powinny się cieszyć naszem szczególniejszem zajęciem się i poparciem.

Ad c). Bieda, zaglądająca do naszych domów, z wojną nie skończy się. Ofiary zrujnowania materyalnego będą wyciągały i ku nam rękę. O ile możemy i gdzie możemy, podajmy ciepłą strawę, odzież, lekarstwo. Komitety ratunkowe, konferencye św. Wincentego a Paulo — niechże mają w nas członków czynnych naprawdę.

Ad d). Dałby Bóg, by się spełniły przepowiednie, które obecnie słyszeć się dają, że ludzie poznają się na działalności innowierców i że zmniejszy się kontyngent konsumentów alkoholu, podawanego przedewszystkiem ręką żydowską.

Jednak — zdaje mi się — nadal trzeba się liczyć z tymi wrogami. Otóż trzeba po wojnie z całą energią zabrać się do walki z nimi, ale rozumnie. O ile możności dążyć musimy do tego, by każdy krok nasz zwycięski w tej wojnie domowej znaczyć odpowiednią ustawą państwową.

Dyskusya rozwinie poruszone tu myśli.

X. Henryk Weryński.

„Doctor eximius".

(W 300-letnią rocznicę jego zgonu).

(Dokończenie).

Suarez zrywa również z tradycyą pod względem zewnętrznej formy swych dzieł. Nagromadzonemu przezeń materyałowi za ciasno było w ramach utartego komentarza do Summy lub Arystotelesa, w ramach nadstawianych nie-rzadko przez „quaestiones"; szukał więc swobodniejszego wyrazu dla swych myśli.

Znalazł go w formie traktatów, roztrząsań, które brały wprawdzie za kanwę dociekań odnośny rozdział ze św. Tomasza lub z „Filozofa", nie przykuwały wszakże niewolniczo do poszczególnych słów i zdań, ale pozwalały na wszechstronne i swobodne rozwinięcie przedmiotu, na uzupełnienie lub poprawienie w sposób grzeczny a nieznaczny swego przewodnika, całości zaś wykładu nadawały powab świeżości i jednolitości powagę.

Dążność do jasności i uniwersalności, płynącej z dużego oczytania tak w starych jak i współczesnych autorach, zarówno krajowych jak i zagranicznych, bynajmniej nie wyrodziła się w gadulstwo; owszem, raczej spotęgowała bogactwo pomysłów, ułatwiła stworzenie dzieł pomnikowej wartości, dała, w przeciwieństwie do Summy teolog., napisanej „ad eruditionem incipientium", samym mistrzom szerokie uzasadnienie kwestyi teologicznych i filozoficznych, a tem samem zaspokajała wrodzone Hiszpanom zamiłowanie do foliałów.

Metodzie pozytywno-scholastycznej, staraniu się o wszechstronność przedstawienia różnych opinii scholastycznych, usiłowaniom jak najszerszego stosowania analizy i syntezy przy rewizyi terminów szkolnych często zwykł towarzyszyć eklektycyzm. Podobną uwagę rzucił odnośnie do Suareza między innymi także Scheeben. (Dogm. I. 703). Eklektycyzm jest pojęciem elastycznem; czasem jest eufemistycznym równoznacznikiem kompilatorstwa, czasem znowu tylko praktycznem stosowaniem zasady, że żadna szkoła nie posiada patentu nieomylności i monopolu prawdy. Otóż przypisywać „doktorowi znamienitemu" kompilatorstwo chyba nikt się nie ośmieli; elektycyzm drugiego rodzaju nie jest wcale wadą, więc Suarez obrony nie potrzebuje. Nie jest bowiem hańbą raczej szukać u innych, aniżeli mniej wiedzieć. Ostatecznie takim genialnym eklektykiem był także systematyzator teologii katolickiej — Doktor Anielski; może więc nim być także jego genialny komentator — „Doctor eximius".

Teolog, któryby umiał drogą analizy roztrząsać każde zagadnienie i dobywać zeń ziarnko prawdy, a przytem, gdyby władał twórczą siłą skupiań i uogólnian, czerpiąc światło z odwiecznych blasków Słowa, z dorobku wieków oraz z własnej uświęconej duszy, miałby wszystkie po temu warunki, aby iść po linii prawowierności katolickiej i scholastycznej — tomistycznej.

Istotnie Suarez, jako pisarz niesłychanie płodny, analizował wszystkie dogmaty wiary, przeszedł rozległą dziedzinę moralności katolickiej, a mimo to zdołał się ustrzedz błędu, wyjąwszy jeden wypadek, w którym, tłumacząc zupełnie nowy dekret papieski sam w sobie i dla wielu teologów niezupełnie jasny, ściągnął na siebie cenzurę. (Denz. Ban. 11, n. 1088). Jest to znana kwestya spowiedzi na odległość. (Scorraille, op. c. t. II. 55—114). Przeto Bossuet zwykł mawiać: „Przytoczę tutaj tylko Suareza, bo, jak wiadomo, za nim idzie przeważna część młodszych. — Uważał go więc za najgodniejszego dziedzica spuścizny dawnej scholastyki, oraz z. mistrza dla młodszych, uznawanego przez Kościół. Mimo to słychać raz po raz zarzut, czy twierdzenie, że Suarez odstąpił zasadniczo od nauki św. Tomasza i stworzył nową t. z. Suarezyanizm.

Najpierw rozważmy, czy to psychologicznie możliwe, sądząc z otoczenia, w jakiem się wychował. O ideowym kierunku człowieka stanowi przedewszystkiem impuls otrzymany w okresie studyów, a więc czytane wtedy dzieła i duch, jakiego starali się przelać weń utalentowani i kochani profesorowie. Ale właśnie od początku swych wyższych studyów młody student z Granady stoi pod wyłącznym wpływem tomizmu. Jako 14 letni chłopczyna słucha w Salamance wykładów OO. Dominikanów, [O. Mancio], a w trzy lata później, wstąpiwszy do Tow. Jez., ma za mistrza w filozofii O. And. Martineza S. J., o którym współbracia mawiali: „To tomista, jak Dominikanin". W czasie studyów teologicznych jego prywatnym kursem w kolegium kierował O. Henriquez, który później zamienił czarną sukienkę na biały habit, byle wydatniej i swobodniej głosić naukę św. Tomasza. Na uniwersytecie, gdzie słuchał kursu publicznego, spotyka znowu, jako profesora „Primy", O. J. Mancia O. Pr. Wobec tego łatwo pojmujemy, dlaczego Suarez dość często w przedmowach do swych dzieł powtarza, że jedyną i największą jego troską — naukę św. Tomasza wyświetlić i uprzystępnić. To jego hasłem i na wstępie zawodu pisarskiego (por. De Verbo incarn. ad lectorem) i na schyłku żywota. (De gratia, proleg. l. VI. c. 6. n. 28). Jeśli więc mimo tylu stanowczych i uroczystych oświadczeń jego ma się odwagę zarzucić Suarezowi fałszowanie nauki św. Tomasza, tem samem posądza się go albo o brak szczerości lub też odmawia się mu zdolności do zrozumienia Doktora Anielskiego; w pierwszym wypadku trzebaby konsekwentnie całe jego życie nazwać hipokryzyą, — w drugim zwątpić, czy znajdzie się wogóle ktoś, coby pojął twórcę Summy teologicznej.

A więc podchwyci ktoś: „Eximius" ani na piędź nie odstąpił od św. Tomasza? W każdym calu jest tomistą? — Bynajmniej! Tego nie twierdzę, bo istotnie pisma jego, zwłaszcza filozoficzne, wykazują pewne odchylenia od Anioła Szkoły. I tak inaczej zapatruje się na rozróżnienie między istotą a istnieniem, na współdziałanie Boga z działalnością stworzeń, na proces rozumowego poznawania bytów jednostkowych itd. (por. Werner, Franz Suarez, passim i tegoż, Gesch. d. Thomismus — zwłaszcza str. 260, 485 i nast.).

Wykształcony na uniwersytetach, gdzie obok katedr Lombarda i św. Tomasza stały Skota, Okkama itd., sam później jako profesor oprócz „Sentencyi" i „Summy" lubił przynosić do szkoły „Reportata parisiensia", jak notują najstarsi biografowie. Nadto taki znawca tomizmu i Suareza, jak X. Werner, tu i ówdzie, roztrząsając jakąś opinię Suareza, odmienną od innych teologów, łączy ją po przez szereg innych autorów z nominalistami lub Skotem (G. d. Th. 253, 256, 262, 270 itd.) Pewne więc infiltracye skotyzmu czy innego prądu bezsprzecznie można wyczuć w doktrynie Suareza, ale to jeszcze nie dowód, że na filozofii tomistycznej i na całej scholastyce wyrył tak głębokie piętno, tak wstrząsnął jej podwalinami, że raczej stał się reformatorem

niż restauratorem (G. d. Th. 491). Z tego wynika, że zdanie: „Suarez nie jest tomistą", — zależnie od tego, jakie nadaje się mu znaczenie, zgadza się lub mija z prawdą. Zgadza się, jeśli przez tomizm rozumie się pewną, w nowszych czasach wytworzoną szkołę, idącą za św. Tomaszem, „nie jak za wodzem, ale jak za panem". (Canus, Loc. Th. l. 6. c. 3), Suarez nie jest również tomistą, jeżeli tomistą być może tylko zwolennik Baneza. Ale był i pozostanie tomistą, jeśli chodzi o zasadnicze podstawy tomizmu i dlatego tak poważny autor, jak O. Zef. Gonzalez O. Pr., nie wahał się powiedzieć: Suarez to najbardziej scholastyczny pośród scholastyków. Filozofia Suareza zgadza się z filozofią scholastyczną, lub, mówiąc dokładniej, jest filozofią samego św. Tomasza, którego przytacza i za nim idzie na każdej stronie swych dzieł filozoficznych. A więc, — kończy dostojny autor, — wyraz suarezyanizm, pojęty jako nazwa systemu filozoficznego, różnego od tomizmu, jest bez-podstawny. (Cytat u Scorraille'a, II. 458 i 475).

Zakon jego również przez cały przeciąg swego istnienia uważał Suareza za tomistę, a to zapatrywanie Zakonu nie dwuznacznie potwierdzali papieże. (Leon XIII., Gravissime nos.).

Świeżo wreszcie wydany list. Przew. O. Gen. Ledóchowskiego [1]), zatwierdzony przez Benedykta XV., autentycznie poświadcza, że tomiści, nie przestając być tomistami, z całą swobodą mogą bronić niektórych zdań przeciwnych owym znanym 24 tezom tomistycznym, byleby to czynili dla przyczyn poważnych i uzasadnionych, a wspomniane tezy uważali za bezpieczne wytyczne prawidła. Zdaje się więc, że na tej zasadzie z całą słusznością Suarez zasługuje na miano tomisty.

Ale jego tomizm jest znacznie uproszczony, bez balastu i rusztowań pomysłów niekiedy raczej błyskotliwych niż gruntownych, bez niektórych aksyomatów o wartości podejrzanej, wymagających przeto licznych rozróżnień. (Ramière, Etude sur Suarez, Hurter, D. Katholik, 1865 str. 576).

Uproszczenie sprostowało zarazem niejedno. Swem bystrem okiem ogarnąwszy rozległe horyzonty wiedzy filozoficzno-teologicznej, nagromadzonej przez tradycyę i Szkołę, wiedziony jedynie miłością prawdy, z całą szczerością wyznaje, co jest pewne, a co wątpliwe, co zasadą, a co tylko tłumaczeniem danej prawdy, co istotną częścią budowy, a co wreszcie późniejszą przybudówką gwoli symetryi tylko.

Suarez, upraszczając i prostując system scholastyczny, niby ogrodnik przez obcinanie wilków, torował mu zarazem drogę ku światłu, prowadził go do przyrody i historyi, nawiązywał teoryę do rzeczywistości; w teologii, nie naginając gwałtem dogmatu do systemu, wracał godność Tradycyi, — we filozofii rozumowi, nie oglądając się wyłącznie na Arystotelesa.

Suarez przeto siłą rzeczy, niby „arka przymierza między dawnemi i młodszemi laty", w której średniowiecze złożyło swe najdroższe i najcenniejsze zdobycze, którą całym swym dorobkiem umysłowym przyozdobił wiek XV., — w potrydenckim ruchu katolickim wśród najlepszych i najruchliwszych nawet licznych swoich współpracowników zyskał znaczenie wyjątkowe i na kilka wieków został nauczycielem i wodzem odrodzonej scholastyki. Stąd słusznie go zwiemy: Doctor Eximius, — wybitny — znamienity.

X. J. Krzyszkowski T. J.

[1]) Por. nr. 31 G. K. z r. b.

Ogarki rewolucyjne.

Studyum z psychopatologii rosyjskiej.

(Ciąg dalszy).

Pod wpływem bezrobocia i głodu robotnicy stracili do reszty panowanie nad sobą. Jedni rzucili się ku grabieżom nocnym, pragnąc zimę spędzić w więzieniu, inni, ostrożniejsi, trudnili się kradzieżami, z których łupy sprzedawali pokryjomu za byle co, a za uzyskane z takich transakcyi pieniądze urządzali szalone pijatyki. Całe życie masy robotniczej zmieniło się do niepoznania i stawało się z dniem każdym coraz mniej podobnem do ludzkiego. Głód i pijaństwo przeistoczyły do tego stopnia ludzi, że z pozoru można ich było uważać za szczęśliwych i zadowolonych ze swego losu.

Tak wszelako było tylko początkowo. Niebawem w dalszym ciągu nastąpiło zwycięstwo braku pracy, który pokonał resztki cierpliwości i sumienia. Głód bez ustanku uderzał swoim niewidzialnym młotem i osłabli w walce, nie czując sie na siłach do przetrwania długich zimowych miesięcy, kończyli samobójstwem. Każdy zaś poszczególny wypadek samobójstwa wstrząsał do tego stopnia tłumem, że biedacy ze wzmożoną energią rzucali się w wir pijaństwa, byle tylko w wódce znaleźć zapomnienie straszliwego jutra. Rozpacz krańcowa, podsycana stale alkoholem. prowadziła do częstych morderstw — i ludzie płacili za chwilę szału dożywotnią katorgą. Najcięższe zaś było położenie chorych, których w zimie namnożyło się tylu, że tylko nieznaczna ich cząstka mogła znaleźć pomieszczenie w szpitalach. Gorączkując, z suchotniczym blaskiem w oczach, grzali się w knajpie, pokaszlując z cicha — milczący, zrezygnowani... Wieczorem, wyżebrawszy gdzie parę groszy, szli do przytułku noclegowego, a jeśli tych kilku groszy brakowało, nocowali w pustych wagonach lub w zaułkach, skąd niejednokrotnie śmierć ich zabierała.

Nikita, przeziębiwszy się, dostał zapalenia płuc i znalazł się w szpitalu, gdzie przeleżał dwa miesiące. Kiedy zaś wyszedł, morze było już wolne od lodu. Nie brakło zarobku dla nikogo, więc wódka lała się potokami. Jedyny tylko Nikita nie brał udziału w tej szalonej orgii pijackiej i spoglądał z żalem na rozpasany tłum. Bieda zaś i ciemnota umysłowa tłumu były dla niego jakiemś hasłem magicznem, które kierowało jego wolę w kierunku ściśle określonym, zwłaszcza, że kierunek ów wskazał mu jeden z współtowarzyszów niedoli w szpitalu.

Tymczasem Nikita był analfabetą. Ale los mu sprzyjał. Kiedy bowiem napędzony brutalnie z budowy przez podmajstrzego, wyrzekał na swoją niedolę, — znalazł przypadkowo człowieka prostego, ale oświeconego:

„O słuszną sprawę powadziłem się dzisiaj — opowiadał nowemu znajomemu — a gospodarz kazał mnie na-

pędzić. Czyliż to słusznie? Człowiek przy twojej robocie nogę sobie uszkodził, a ty z nim, jak z psem obszedłeś się. Drugiego, który ujął się za tamtym — napędziłeś. A czy o tem piszą w gazecie? Dajmy na to, — pijaństwo. Dlaczego nasz brat wszystko powinien przepijać? Pije on — powiedzmy — z powodu swego życia, a w jakiż sposób życie uczynić lepszem? Czyliż piszą o tem w gazecie? Jak zimę przetrzymali — wiadomo ci. A gdzie robota podziała się? W lecie — ciepło, dobrze — robota jest, w zimie — źle, roboty niema. A człowiek musi także w zimie żyć. Piszą o tem w gazecie, czy nie"?

Na bezpłatnego nauczyciela sztuki czytania ofiarował się Nikicie robotnik Djak. Mieszkał on w domu ogromnym, podobnym do koszar, którego mieszkańcy znajdowali się w mocy silnych wrogów, jakimi były: wódka, syfilis, rozpusta i nędza. I nie oszczędzały one nikogo. Cały dom wrzał od intryg, niewinnych lub podłych i nie było w jego murach ani jednej pewnie dziewczyny, którąby nie zeszła na manowce, ani jednej żony, którąby nie zdradzała swego męża, uprawiając stosunki na wszystkie strony. Dziewczęta w większości wypadków stawały się prostytutkami, zawodowemi albo tajnemi, życie zaś takie zaczynały w wieku lat 10 do 12, przeszedłszy szkołę zepsucia u Turków lub u Greków, zamieszkałych licznie w tej dzielnicy miasta.

W skromnej izdebce tego domu mieszkał Bazyli Djak ze swoją kuzynką 17-letnią Agnieszką. Djak patrzał na życie trzeźwo, więc rozumiał dobrze, iż każdy człowiek pierwotny, a zatem także i Rosyanin, puszczony bez wędzidła, samopas, „więcej złego uczyni, aniżeli wściekły pies".. Na dobitek — człowiek — analfabeta!... To też z zapałem zajął się nauką Nikity. Nauka ta wszelako miała stać się przyczyną nieszczęścia młodzieńca, w którego sercu zrodziło się uczucie miłości do Agnieszki. A i dla niej Nikita nie był obojętny. Wyznanie było u dziewczęcia na ustach niemal, więc płakała po nocach długich, nie wiedząc, w jaki sposób ulżyć sobie. W snach nawet widywała Nikitę. Marzeniom końca nie było. Usta wszelakoż obojga milczały czas długi uparcie. Aż raz w lecie spełnił się akt miłośny podczas przechadzki zamiejskiej.

Nikita odtąd zamieszkał u Djaka w charakterze — zresztą powszechnym w Rosyi całej — męża prawowitego Agnieszki, choć nieślubnego. Ale rzekome szczęście minęło aż nadto rychło. Agnieszka, nabawiwszy się od męża nieuleczalnej choroby płciowej, poroniła i musiała udać się na kuracyę do szpitala. A kiedy powróciła stamtąd po kilku tygodniach, — prostą niemożliwością okazały się próby wskrzeszenia dawnego życia, zwłaszcza, że Nikita stracił był właśnie zarobek i poczuwał się w skrytości serca do winy ciężkiej wobec Agnieszki. Miłość, oparta na zadowoleniu zmysłowem, pierzchła z chwilą, kiedy ustały pocałunki i pieszczoty, a razem z nimi skończyły się marzenia i nadzieje.

Agnieszka pozostawała w ciągłem osamotnieniu. Choroba jej wymagała nieustannej kuracyi, to też nieszczęśliwa chodziła regularnie do szpitala, gdzie, w oczekiwaniu swojej kolei, w otoczeniu kobiet chorych równie, jak sama, dowiedziała się o właściwej przyczynie cierpień, a dalej o rozpuście wyuzdanej. Opowiadania zaś te cynicznie bezwstydne oddziaływały na nią, niczem mocne wino, spowijając jej myśli w coraz to grubszy brud. Uległa pragnieniu zapomnienia całkowitego o wszystkiem, co minęło, a nie mniej o teraźniejszości szarej, zwłaszcza, że Nikita unikał jej pilnie i przesiadywał, nawet bez roboty, po za domem po całych dniach.

Zrozpaczona Agnieszka za przykładem i pouczeniem sąsiadek rozpustnych poszukała pocieszenia w swojem nieszczęściu na dnie kieliszka: — „Nie wiem — zwykła była mawiać jej sąsiadka — jakbym mogła żyć bez wódki? Bez ojca — ot, mogę, — bez matki, mogłabym, ale bez wódki nigdy. Wódka leczy ze wszystkiego, z głodu, z nieszczęścia, — wypij ze mną"!...

Historya cała miała koniec bardzo smutny. Mianowicie sąsiadka sprzedała pijaną Agnieszkę bogatemu kupcowi. Kiedy na wpół przytomna Agnieszka powróciła do domu, Nikita zbił ją niemiłosiernie, pobitą zdeptał okrutnie nogami, sam zaś poszedł w świat, kędy oczy poniosą:

„My dzienni wyrobnicy — rzekł mu Djak na odchodnem — pijacy i innego życia nie potrzebujemy. Tyś orzeł — i sam siebie zamęczyłeś i wszystkich zamęczyłeś. Odejdź stąd, a my znowu zaczniemy żyć spokojnie. Agnieszce przebaczę — ty nie przebaczysz — i jak sen okropny wspominać będzie ona ten rok życia z tobą"...

Nie inny temat, bo orgiazmu płciowego jest przedmiotem trzyaktowego dramatu p. n. „Czużaja" w którym gangrena rozpusty, jaka do dna przeżarła duszę i szpik wszystkich bez wyjątku warstw społeczeństwa rosyjskiego, występuje w całej swojej potworności.

Żona pięćdziesięcioletniego Obmienowa, który skutkiem życia wyuzdanego postarzał się przedwcześnie, okazuje się równą swojemu mężowi rozpustnicą. Że jednak ani lata ani uroda nie pozwalają jej na utrzymywanie stosunków miłośnych, szuka tedy zaspokojenia instynktów zmysłowych na innej drodze. Wszelako stępionymi jej zmysłami targnąć są zdolne dzisiaj jedynie wrażenia najgrubsze. Do wywoływania takich osobliwych wrażeń ma posłużyć prosta dziewka wiejska Iryna, której edukacyę zaczyna pani domu — Nadzieja Jermodajewna — od nauki kankanu. „Ot, grzech — powiada podczas jednej z takich lekcyi, — a ty walcz... ze wszech sił walcz. Przyjdzie dyabeł i zacznie kusić, a ty nie poddawaj się, pędź słowem, goń rękami!"... moralizuje pozornie.

W Irynie rozpoczyna się faktycznie walka zacięta pomiędzy cnotą, a opanowującemi coraz to więcej jej ciało żądzami lubieżnemi. Przecież Iryna pracuje od długiego szeregu lat ciężko, jak jakie pospolite bydlę robocze, podczas gdy koleżanki jej — Pasza i Grusza — żyją w dostatkach, gdyż cnotę dziewczęcą bez najmniejszego żalu umiały spieniężyć za dobrą monetę. A czyliż ona potrzebowałaby tak ciężko pracować na kawałek chleba?... Czy cnota da jej co na starość?... Czy powróci siły stracone?... Dla chlebodawcy swego — pana Obmienowa — nie jest Iryna obojętną, o czem wiadomo jej doskonale. Od pół roku już wynurza się chlebodawca przed nią kryjomkiem, przedstawiając, jak wygodną przyszłość mogłaby sobie stworzyć, gdyby zechciała tylko... gdyż teraz wszystko zależy od jej postanowienia... Nawet mieszkanie dla niej znalazł o trzech pokojach przy ulicy zacisznej, pomieszkanie urządzone elegancko. Byle tylko zechciała oddać się mu — będzie żyć bez trosk, bez pracy, a wygodnie i dostatnio, będzie własną panią. Mogłaby nawet być szczęśliwa, gdyż

Obmienow przyrzekł ożenić się z Iryną po śmierci swojej żony, która przecież jest stara, ba, nawet nie zabrania Irynie mieć innego kochanka obok siebie.

Wszelako w sercu prostaczem Iryny tli jeszcze odrobina zdrowego rozsądku i nie skażonego sumienia, z którem przychodzi do bardzo częstych walk.

„Dlaczegoż nie chcę, o Boże, dlaczegoż nie chcę? — zapytuje sama siebie. Odpowiadaj, dlaczego nie chcesz, przeklęte? Dlaczego mnie męczysz, łudzisz, a nie poddajesz się? Niech będzie stary niechaj, będzie rozpustnik i wstrętny, a tobie co do tego? Odpowiedz, co ci do tego? Dla Paszy i Gruszy nie było to wstrętne, ażeś ty, królowa, znalazła się. Jutro byłabyś panią, w jedwabiu i barchanie chodziła, a wszyscy dokoła popękaliby z zawiści. Sługi trzymałabyś i litowała się nad niemi. Dlaczegoż więc nie chcesz? Przecież tylko bodaj w myślach dopuść, na jedną tylko chwilę dopuść, a będziesz zaraz, jako nowy człowiek Wprawdzie grzech wstrętny i obrzydliwy grzech, ale przecież raz tylko, jeden raz, a tam już będziesz czystą i wierną. Nie chcesz? A ot, dzisiaj na przekór tobie, pobiegnę na ulicę. Być może — tam lepiej. Może w rozpuście lepiej? Wszak nie wiesz, a wstrzymujesz, ale po co, dlaczego?“

To też w chwili gwałtownego osłabnięcia woli, Iryna postanawia rzucić się w odmęt rozpusty ulicznej. Bo i cóż czeka ją ostatecznie?... Kochał ją raz młody student, nachodził nieustannie i błagał ze łzami w oczach o wzajemność, wynurzali się jej ze swojemi uczuciami rozmaici ludzie, ale ona pędziła ich precz od siebie. I tak teraz została sama jedna. Na wypadek choroby — nawet pies jej nie odwiedzi, jeśli zapłacze — ktoż ją pocieszy, kto da dobre słowo w smutku, kto ukoi w żalu? Chyba powiesić się wypadnie, cóż bowiem warto życie takie, w którem niema nic — oprócz udręki bezkresnej?

W akcie drugim jesteśmy świadkami nocnego życia rozpustnego ulicy wielkomiejskiej. Fragmentaryczne te i nie powiązane ze sobą w pewną organiczną całość sceny, przedstawiają dla nas pewną wartość o tyle tylko, o ile przyczyniają się do oświetlenia psychiki Iryny, która przedstawia się nader mętnie i niejasno. Możnaby nawet stąd wysnuwać wnioski co do stanu jej umysłowego, który wykazuje wszelkie cechy nieodłączne od lekkiego pomieszania na tle wybitnie histerycznem. Iryna bowien wyszła na ulicę z zamiarem stanowczym oddania się pierwszemu nagabującemu ją mężczyźnie. Rzeczywiście starają się nawiązać z nią stosunki starzy i młodzi, Iryna jednakowoż, wbrew pierwotnemu postanowieniu, ucieka czemprędzej z powrotem do domu, gdzie bez namysłu kończy z rozpaczy samobójstwem przez obwieszenie się.

W postaci Iryny wyobraził Jurkiewicz istotnie typ czysto rosyjski. W duszy bowiem rosyjskiej brak miejsca na pojęcie walki z grzechem, walki bezwzględnej aż do ostatka tchu. Na to Rosyanin jest za słaby. A zatem: albo ucieka od grzechu na pustynię odludną, gdzie nie znajdzie żadnych pokus, albo — kończy — również bez walki — samobójstwem. Ileż w takiej zasadzie samounicestwiania się — czystej, nieskażonej mongolszczyzny?!... I czyliż smutnemu końcowi nieszczęsnej dziewczyny winno jest miasto? — Jak tego chciałby Jurkiewicz...

W dramacie znowuż p. n. „Dina Głank“ jest również miasto, — ale jak gdyby gdzieś daleko, na uboczu. Mówi się wprawdzie o niem, lecz bardzo niewiele. Wobec tego czytelnik musi pomagać sobie reminiscencyami tego co autor dawniej napisał.

Kto zwichnął życie głównej bohaterki utworu — Diny, która handluje ciałem własnej córki, jak byle jakim codziennego użytku towarem i na jej sprzedajnej miłości buduje gmach szczęścia i dobrobytu rodzinnego? Temu znowu winno — podług teoryi Jurkiewicza — miasto... Ale o tem, że Dina jest potworem, pozbawionym nie tylko uczuć macierzyńskich, ale nawet ludzkich — Jurkiewicz nie chce wiedzieć.

I czyliż temat ten, wywlekający na jaw same tylko żądze lubieżności człowieczej, godzien jest, naprawdę, uwagi? Boć przecież połączoną z nim kwestyę społeczną sam autor wyłączył od roztrząsania w założeniu swojego utworu.

Odpowiedź na to pytanie musi wypaść przecząco, gdyż pozostaje najzupełniej poza sferą odziaływania miasta, głodu i rozpustnej atmosfery płatnej rozkoszy płciowej. A zatem, wobec tego, — Dina nie ma sensu. Bo autor skupił całą uwagę wyłącznie na psychologii indywidualnej, podczas gdy właściwym celem jego było wykazanie wpływu warunków bytu społecznego. Toż tu jasne przeciwstawienie celów i środków!...

Sprzeczność jest aż nadto oczywista i jasna dla każdego.

Jakież więc wobec tego należy zająć stanowisko — naturalnie co do Diny?

Czy traktować ją, jako pospolitą przestępczynię, czy jako istotę zwyrodniałą, której jednak przysługuje prawo, abyśmy jej współczuli?...

Tylko w tym brudzie rozpatrzyć się — to trud herkulesowy!.. Historya bowiem Diny Głank — to istna kałuża brudu i depprawacyi krańcowej, o jaką trudno nawet w mieście milionowem. Tutaj zaś napotykamy ją w niewielkiem miasteczku prowincyonalnem.

Ale dopiero w „Głodzie“ okazał się Jurkiewicz sobą.

Oto on — Głód, główny bohater dramatu:

„Buciki jego podkute. Cienki, jak kosa. Twarz ma zwierzęcą... Idzie i zębami wyrywa mięso z ludzi... z krwią... Gęba jego zakrwawiona“...

Przed nami proletaryat żydowski. Ale nie ten ciemny i uległy. To proletaryat rzekomo „uświadomiony“. Pod wpływem wypadków lat ostatnich ta ciemna masa drgnęła, zakołysała się. Inne ideały zaczynają świtać w jej głowach. Agitacya rewolucyjna dotarła już tutaj i jak u każdego narodu wschodniego, nie umiejącego patrzeć okiem krytycznem, lecz przyjmującego każdą teoryę ślepo, na wiarę, sprawiła zamęt w mózgach. Ten proletaryat wydziedziczony dowiaduje się nagle i niespodzianie, że na świecie powinna być równość bezwzględna, że każdy ma być dla drugiego bratem, że wolność nie ma być czemkolwiekbądź ograniczona...

(C. d. n). *Dr. St. Zdziarski.*

Abstynentowi z „Kuryera Lwowskiego“ w odpowiedzi.

Artykuł nasz p. n. „Moraliści o abstynencyi zupełnej“ (zamieszczony w nrach 27, 28, 29 i 31 G. K. z r. b.) nie przemówił niektórym czcig. Księżom Abstynentom do przekonania. Jeden z nich

polemizuje z nami w nrze 416 „Kuryera Lw." (z 5-go września r. b., — podpisany: X. Abstynent), zarzucając nam między innemi „niekonsekwencyę" i wogóle zbywając dość lekko naszą (czyli raczej X. Lehmkuhl'a i O. Prümmer'a) argumentacyę. To nas zniewala do kilku słów odpowiedzi, tem bardziej, że zarzuty podobne wytoczono także na Zjeździe Abstynentów w Przemyślu: „Wśród ludzi starszych" — pisze on — „przyzwyczajonych już do „mierności", ruch ten nie znalazł oddźwięku. Było tak w każdej sferze społecznej, jest tak i wśród księży; wiadomo o tem z codziennego życia, a ujawniło się to także w piśmiennictwie. Prawie równocześnie z wydaniem powyżej cytowanej publikacyi Zw. ks. abst., ukazało się w nr. 31. „Gazety Kościelnej" z d. 3. sierpnia br., organie Tow. wzajemnej pomocy kapłanów, wydawanym we Lwowie, następujące przekonanie jednego ze starszych kapłanów: „...my sądzimy, że nawoływanie do abstynencyi zupełniej nie prowadzi do celu. Przesadne jest niewątpliwie twierdzenie, że żaden z nas nie powinien sobie pozwolić nigdy na kieliszek wina lub szklankę piwa". Autor jednak dalej niekonsekwentnie do swego stanowiska „kieliszka wina i szklanki piwa" uważa, że reforma ustawodawstwa alkoholowego w kierunku ograniczenia handlu i wyrobu napojów alkoholowych jest potrzebna".

X. Abstynent nie uważał za rzecz potrzebną odpowiedzieć na bardzo poważne wywody wymienionych moralistów, — wyraził tylko swoje ubolewanie, że „wśród ludzi starszych ruch abstynencki nie znalazł oddźwięku", — bo oni nie chcą zejść ze swego „stanowiska kieliszka wina i szklanki piwa"! Jest to zaś według niego oczywistą „niekonsekwencyą", że pomimo tego przemawiamy za „ograniczeniem handlu i wyrobów napojów alkoholowych".

Gdzie tu jednak jest „niekonsekwencya"? Każdy człowiek rozumny, a tem bardziej kapłan powinien zwalczać pijaństwo i żądać przeciwko niemu także środków ustawodawczych; — ale czyż stąd wynika, że powinien oświadczyć się za abstynencyą zupełną, bo inaczej alkoholizm nie da się pokonać? Tego dowodu mają nam właśnie dopiero dostarczyć abstynenci; — sądząc zaś z ich doświadczeń dotychczasowych, można wątpić, czy to im się powiedzie. Oto jeden z najgorliwszych na tem polu pracowników, czcig. X. proboszcz w Futomie Wojciech Stachyrak pozyskał po 10 latach pracy na 3.500 parafian razem 507 osób, między temi 57 mężczyzn żonatych, 4 młodzieńców, resztę stanowią niewiasty [1]). Gdzieindziej są rezultaty jeszcze daleko skromniejsze. A nadto można uważać za rzecz bardzo wątpliwą, czy istotnie ci abstynenci nigdy nie wezmą do ust ani kropli alkoholu? I nic w tem dziwnego, że i tacy, którzy nie są wcale miłośnikami trunków, wzbraniają się zobowiązać do abstynencyi zupełnej, ze względu na to, że ona w licznych wypadkach zadaje umartwienie zbyt wielkie a niepotrzebne, kiedy np. nie można zaspokoić pragnienia dobrą i zdrową wodą (wiedzą coś o tem na różnych frontach bojowych żołnierze nasi, których też naprózno zachęcalibyśmy do abstynencyi!). Więcej osiągnie się zapomocą dobrze kierowanych bractw wstrzemięźliwości.

Na Zjeździe księży Abstynentów dyecezyi przemyskiej, który odbył się d. 21-go sierpnia r. b. (por. nr. 36 G. K. z r. b. str. 426-427). mówiono także dość dużo o naszym art. „Moraliści" etc., przyczem jednak pokazało się, że argumenty tych wybitnych teologów nie przekonały wcale czcig. prelegentów. Znowu bowiem powtórzono między innemi zapewnienie, że alkohol jest zawsze „trucizną", chociaż „w małych dawkach nie szkodzi tyle, ile w większych; — a X. Pękala powiedział nadto, że „wysuwanie różnych zarzutów jest niepotrzebne, bo abstynencya jest cnotą, jest zalecana przez Kościół i nie stoi w przeciwieństwie z Pismem św., ani z duchem Kościoła... Smutna to rzecz, że cnocie stawia się opór, zwalczając zupełną abstynencyę".

Na to odpowiadamy: ani X. Lehmkuhl, ani Prümmer, ani redaktor Gaz. Kościelnej nie twierdzą wcale, że abstynencya zupełna nie jest cnotą i że sprzeciwia się Pismu św., — tylko, że wielu jej zwolenników, a zwłaszcza młodych, wynosi ją przesadnie, przedstawiając ją jako święty obowiązek wszystkich ludzi dobrej woli, upatrując w najmniejszych nawet dawkach alkoholu truciznę i zarzucając nie-abstynentom, że dają „zgorszenie" i szkodzą dobrej sprawie. Jeżeli X. Pękala powołuje się na przykład św. Pawła, który „gotów był nawet nie jeść potraw, które bliźniemu dawały powód do zgorszenia", to powinien był zarazem uwzględnić inne słowa Apostoła, w których zaleca Tymoteuszowi umiarkowane picie wina, — powinien był uwzględnić inne jeszcze ustępy Pisma św., które nie każą pojmować abstynencyi zupełnej jako obowiązku (a które przytoczyliśmy w artykule wymienionym).

Stwierdzamy więc, że, jak powiedział Najprz. X. Biskup Fischer w toku dyskusyi, „Gazeta Kościelna wystąpiła raczej przeciw fanatyzmowi, niż przeciw samej abstynencyi". **X. P.**

[1]) Por. broszurę „Z okazyi dziesięciolecia Związku księży abstynentów" (Lwów 1917, str. 15, cyt. w nrze 36 G. K. z r. b. str. 430).

KRONIKA KOŚCIELNA.

Duszpasterstwo wśród parafian powołanych pod broń. Z chwilą powołania do wojska mężczyzn starszych i ojców rodzin musiała wojna wpłynąć ujemnie także na życie rodzinne i obniżyć jego poziom moralny. Podobnie stało się z życiem religijnem pospolitaków. Przerwana przez powołanie pod broń łączność z parafią i kościołem zrobiła wyłom w życiu katolickiego ludu. Na brak regularnego pokarmu duchownego i na oderwanie od systematycznego życia religijnego, jakie zapewnia parafia i kościół, uskarżają się powszechnie pospolitacy, zwłaszcza starsi i pochodzący ze wsi.

Duszpasterstwo zagraniczne czyni starania około zaradzenia temu brakowi. Wzięto wzór od parafii wielkomiejskich, w których przyjął się zwyczaj wydawania osobnego pisma peryodycznego dla swych parafii. Uznano tedy za stosowne, by w podobny sposób starał się duszpasterz przez czas trwania wojny utrzymywać pewien kontakt ze swymi parafianami, rozrzuconymi jako żołnierze po różnych krajach i liniach bojowych zapomocą korespondencyi

Ale pisać od czasu do czasu prywatne listy do każdego z nich jest wprost niemożliwem nie tylko we większej, ale i w mniejszej parafii. Jednak da się uskutecznić przesyłanie w pewnych regularnych odstępach czasu wszystkim parafianom służącym przy wojsku równobrzmiącego pisma, które odbite na prasie w większej ilości egzemplarzy dostaje się do rąk wszystkich. W niem podaje się do wiadomości w krótki i zwięzły sposób w formie n. p. listu całą kronikę życia parafialnego, a przytem podaje się także wypadki z życia publicznego i prywatnego w parafii. Jest to więc pewnego rodzaju gazeta parafialna, w której zawiera się treść następująca: wiadodomości o naukach, kazaniach, bractwach, nabożeństwach i innych praktykach religijnych; o nowych związkach małżeńskich i wypadkach śmierci; o społecznej działalności ekonomicznej i dobroczynnej; o stanie gospodarstw, urodzajów, robót polnych i zbiorów; wreszcie o odznaczeniach, wypadkach śmierci, zranieniach i chorobach żołnierzy z parafii pochodzących. Wszystkie te wiadomości wzięte są tylko z obrębu parafii. Otrzymywane regularnie n. p. co miesiąc, sprawiają niemałą przyjemność żołnierzom i stają się doskonałym łącznikiem pomiędzy Kościołem, a parafianami, pozostającymi pod bronią.

Z biegiem czasu, w razie przedłużenia się wojny, nie brakłoby dla proboszcza korespondencyi od parafian z linii bojowej i coraz szczerszej między nimi wymiany myśli. Ciepłe słowa otuchy i pociechy ewangelicznej rzucane pomiędzy wiersze, bo na dłuższe traktaty niema miejsca, przyczynić się mogą przez utrzymywanie stałego w ten sposób kontaktu między kościołem a parafianami do uratowania niejednej duszy od zwątpienia, do utrwalenia i pogłębienia przekonania religijnego, do poczucia wdzięczności dla Kościoła tak ze strony żołnierzy, jak i ich rodzin.

Proboszcz, któryby zechciał podjąć się tego trudu, zbierze tym sposobem także cenny materyał kronikarski z życia parafialnego w czasie wojny.

Tego rodzaju korespondencya parafialna nie jest żadnem przedsiębiorstwem wydawniczem, lecz wysyła się ją albo bezpłatnie lub też za nizką opłatą, potrzebną do pokrycia kosztów przyborów do pisania i odbicia. Zdaje się, że to myśl dobra i godna urzeczywistnienia, którą możnaby w przyszłości po wojnie dobrze zużytkować w duszpasterstwie wśród naszych wychodźców. (Por. Glaube und Arbeit, zeszyt 8/9 1917, ust. Sozialethik).

X. Dr. A. Mytkowicz.

Nowe prawo wyznaniowe w Rosyi. Wydział kościelny komisyi likwidacyjnej opracował na swych posiedzeniach szereg wniosków, tyczących się zniesienia ograniczeń dotychczasowych w dziedzinie religijnej i w tej liczbie także w sprawie t. zw. katolików „niezarejestrowanych", poczem wnioski te przez komisyę likwidacyjną przedłożone zostały rządowi tymczasowemu. Rząd tymczasowy jednak, przy pomocy powołanych specyalnie osób opracował prawo zasadnicze o wolności sumienia, wobec czego odpadła potrzeba znoszenia poszczególnych ograniczeń. Nowe prawo, oparte na bardzo szeroko pojętej zasadzie wolności religijnej, czyni zadość życzeniom ludności katolickiej. Tekst nowego prawa:

1. Każdemu obywatelowi państwa rosyjskiego zagwarantowana jest wolność sumienia. Dlatego też korzystanie z praw obywatelskich i politycznych nie zależy do należenia do tej lub innej religii i nikt nie może być prześladowanym i ograniczonym w jakichkolwiek prawach za swe przekonania religijne.

2. Przynależność małoletnich do wyznania, nie mających 9 lat wieku, określają ich rodzice. Jeżeli między rodzicami niema co do tego porozumienia, małoletni należy do wyznania ojca. W razie rozdzielnego pożycia rodziców, dzieci należą do wyznania tego z rodziców, przy którym pozostają.

3. W razie śmierci lub braku wiadomości o rodzicach i niemożności określenia wyznania małoletnich, mających mniej niż lat 9, przynależność do danego wyznania małoletnich określają adoptujący lub opiekunowie.

4. Dla przejścia osób, które doszły do 14 lat życia, z jednego wyznania na drugie lub do uznania się za nie należącego do żadnego wyznania, nie trzeba ani pozwolenia jakiejkolwiek władzy, ani złożenia władzom deklaracyi. Stosunki zaś prawne, wynikające z przynależności do danego wyznania, ustają wskutek piśmiennego lub ustnego oświadczenia porzucającego to wyznanie wobec miejscowego sędziego.

5. Po otrzymaniu, w porządku wskazanym w artykule poprzednim, oświadczenia, sędzia miejscowy bez zwłoki komunikuje je parafii, czy stowarzyszeniu religijnemu, do których należała osoba, która je porzuciła. O osobach, uznających siebie za nie należących do żadnej religii, komunikuje się właściwemu organowi samorządu miejscowego.

6 Małoletni, poniżej lat 9, mogą być przyłączeni do innego wyznania przy przejściu rodziców na inne wyznanie; w braku porozumienia między rodzicami; małoletni mający mniej niż 9 lat pozostają w dotychczasowem wyznaniu.

7. Małoletni powyżej lat 9 nie mogą być przyłączeni do innego wyznania bez ich zgody.

Prawo powyższe, jak widzimy, ostatecznie rozstrzyga także ciągnącą się lat wiele kwestyę katolików „nie zarejestrowanych". Otrzymali oni obecnie możność jawnego wyznawania swej wiary i przestaną być wreszcie uważani, jak to było pod dawnym rządem, za „świadomie-prawosławnych".

Z Wiednia. Nowy profesor teologii moralnej. Następcą X. dra Franciszka Schindlera, który przeszedł w zasłużony stan spoczynku, na katedrze teologii moralnej w uniwersytecie wiedeńskim został X. dr. Ignacy Seipel, dotychczasowy profesor w Salcburgu. Jest to kapłan bardzo uczony i pracowity, który wydał już szereg dzieł i rozpraw bardzo cennych, a nadto zasilał swoimi artykułami prasę katolicką (zwłaszcza „Kathol. Kirchenzeitung" i „Reichspost"). Urodzony w r. 1876 w Wiedniu, uzyskał tamże w r. 1903 stopień doktora teologii, przedłożywszy rozprawę, której przedmiotem była nauka Hermana Schella o Trójcy św., a w r. 1908 habilitował się jako docent teologii moralnej pracą p. n. „Die wirtschaftlichethischen Lehren der Kirchenväter". Wydał on między innemi kazanie postne p. n. „Die Grundwahrheiten der Erlösung" „Beim eucharistichen Gott" „Das katholische Kirchenjahr in Bildern" „Nation und Staat" „Gedanken zur österreichischen Verfassungsreform". W każdym razie zyskał w nim uniwersytet wiedeński nową siłę bardzo wybitną.

Śp. X. Ignacy Krek. Ciężką stratą poniósł klub Słoweńców w Radzie państwa wskutek niespodziewanej śmierci swego przywódzcy. Urodzony w r. 1865, wyświęcony w r. 1888, został wkrótce profesorem w seminaryum duchownem w Lublanie, gdzie zajął także jako socyalog i gorący patryota stanowisko bardzo wybitne. Rozwinął działalność na szeroką skalę, organizując siły swego narodu, zakładając kasy Raiffeisena, związki robotnicze i t. d. Od r. 1897 był posłem do Rady państwa, w której zdobył sobie bardzo wielkie znaczenie i działał bardzo pożytecznie

R i p.

Opieka religijna nad uczniami handlowymi w Krakowie w czasie wojny. Zorganizowaniem opieki religijnej nad uczniami handlowymi w Krakowie za inicyatywą niezapomnianej pamięci przyjaciela i opiekuna młodzieży śp. O. Stefana Bratkowskiego zajęła się w r. 1894 w jesienni Sodalicya Maryańska kupców.

Pierwszym krokiem na tem polu były nauki katechizmowe, miewane wieczorami w niedzielę w stowarzyszeniu kupców

i młodzieży handlowej. W dwa lata potem (1896), dla lepszego zszeregowania uczniów, powołano do życia młodszą Sodalicyę Maryańską kupiecką.

Naukę religii przeniesiono wkrótce do sal Wyższej Szkoły handlowej, gdzie odbywała się co drugą niedzielę przedpołudniem. Z powodu braku obszerniejszej sali znalazła się znowu przejściowo w sali stowarzyszenia. Ale lokal, przeznaczony do życia towarzyskiego, nie dawał nigdy należytego namaszczenia poważniejszej pracy duchowej. Z chwilą otwarcia gmachu Akademii handlowej grono poważnych obywateli kupców, zgrupowane w prastarej kongregacyi kupieckiej, Stowarzyszeniu kupców i młodzieży handlowej, oraz Sodalicyi Maryańskiej kupców za pośrednictwem swoich delegatów powzięło myśl o donioślejszym planie, czyby nie dało się stworzyć regularnej przy tej instytucyi nauki religii, podzielonej według wieku uczniów, zwłaszcza, że kongregacya kupiecka uchwaliła zniesienie popołudniowych godzin sklepowych od 3—6-tej. Obrócono je więc na naukę religii i historyi kraju rodzinnego. Materyał religijny rozłożono wówczas za aprobatą Najprz. ks. Biskupiego Konsystorza na dwa kursa, na każdym co roku się zmieniający tak, że w czterech latach ogólnego wykształcenia handlowego ucznia obejmował całokształt nauk religijnych, a więc historyę biblijną, katechizm, etykę i wiadomości z historyi kościelnej. Stan ten nauki religijnej uważano zawsze za próbę, rzecz przejściową do lepszych czasów dla sprawy katolickiej.

Po pewnej małej przerwie znalazła się chwila jeszcze korzystniejsza. Plany uzupełniającej szkoły handlowej zniosły we wtorki i piątki naukę popołudniową. Postarano się więc, aby w te dni wykorzystać owe wolne godziny w dwóch już szkołach handlowych: t. j. rządowej i miejskiej, na naukę religii, zostawiając uczniom wolne popołudnie niedzielne.

Gromadzenie atoli razem uczniów od 14 roku życia, często aż do 21 nie mogło korzystnie wpływać dla słuchaczów, przez trzy lub cztery lata słuchających jednego materyału naukowego, ani przywiązywać do samego przedmiotu. Zwłaszcza, gdy szkoły wymagały od uczniów ukończenia już najmniej 2 klas szkół średnich lub całej czteroklasowej wydziałowej.

Tak nas zaskoczyła wojna.

Pozamykano szkoły, życie w stowarzyszeniach katolickich ustało. A kiedy w połowie 1915 r. otworzono szkoły, stowarzyszenia odżywać poczęły, stosunki zgoła się zmieniły. Dlatego jednak nie można było śród rozprzężenia, jakie wojna w etyczne życie ludności wnosi, szybciej jeszcze niż kiedykolwiek dojrzewającej młodzieży pozostawić bez pierwiastku opieki religijnej. Owszem raczej wszelkiemi siłami należało ją podtrzymać.

Jak się więc dzisiaj w czasie wojny ta opieka przedstawia?

O przywróceniu bodaj we wtorki i piątki nauki religii nie można było rozumnie marzyć. Mogłaby to jedynie zrobić szkoła i to dla bardzo niewielkiej ilości swoich wychowanków, z wielkim i tak trudem ciągnąca orkę codziennej pracy. A liczba uczniów po sklepach krakowskich wcale nie malała. Zaczęto przyjmować jeszcze młodszych niż ustawa pozwala i bez należytych szkół, a cięższe na nich spadły obowiązki, gdy starszych uczniów, pomocników i szefów nawet powołano w szeregi armii lub dobrowolnie wstąpili oni w szeregi legionów. Praca bez wytchnienia pod okiem pani, w czasie wojny dopiero obznajmiającej się ze sklepem, lub przy współudziale żeńskiego personalu nie pozwala na wskrzeszenie pozaobowiązkowych kursów religii. A wobec stanu wojennego nie prędko, zdaje się, powrócą normalne stosunki.

Sodalicya Maryańska uczniów handlowych, w najcięższych nawet chwilach dla Krakowa, żyła i wedle możności trwała na swem stanowisku, gromadząc swoich członków na zebrania i nabożeństwa.

Jedna z dodatkowych jej ustaw dozwala na pewne religijne opiekowanie się uczniami handlowymi w Krakowie na wypadek mianowicie, gdyby okoliczności nie pozwoliły na to innej, bardziej powołanej do tego instytucyi.

Choć dosłownie nie zaszła jeszcze ta okoliczność, to przecież przyłączenie pozostałej garstki członków Sodalicyi kupieckiej do Sodalicyi panów, a niemożność urządzenia wogóle kursów religijnych zadały pytanie: czy nie rozszerzyć chwilowo ram działalności tej Sodalicyi, nie ułatwić wpływu religijnego i przystępowania do Sakramentów ogółowi uczniów Wielkiego Krakowa?

W jesieni ubiegłego roku rozesłano okólnik do kupców zawiadamiający, że odtąd we wszystkie niedziele, dobrze już po uciszeniu pracy zawodowej, a w porze dającej możność przeważnej liczbie uczniów (o g. pół do 12-tej u OO. Dominikanów) wysłuchania Mszy św., a w kwadrans na 1-szą odbywać się będą stałe egzorty dla wszystkich uczniów handlowych w kościele Serca Jezusowego na Wesołej.

Podnieść należy z uznaniem, że panowie kupcy zrozumieli doniosłość sprawy. Uczniów swych zachęcili, a ci poczęli się gromadzić na krótkie wspólne nabożeństwo, poprzedzające egzortę. Zajmowało to niewiele czasu, pół godziny, więc i młodzież nie czuła się przeciążoną. Liczba słuchaczy oscylowała, przeciętnie jednak do końca czerwca 70 uczniów korzystało z nauk. Trzy razy w tym czasie wspólnie przystępowali do Sakramentów, t. j. z okazyi uroczystości Patrona młodzieży św. Stanisława Kostki (89), po trzechdniowych rekolekcyach w poście (131) i w lipcu na zakończenie nauk (67). Wspólnie z Sodalicyą mieli wycieczkę towarzyską w lipcu do puszczy Niepołomickiej, oraz choinkę, urządzoną w niedzielę po 3 Królach przez Stowarzyszenie kupców i młodzieży handlowej.

Choć liczby dają pojęcie o potrzebie religijnego elementu w życiu tych chłopców, to przecież są one także świadectwem obojętności dla wychowania ich religijnego. Stanowią one bowiem trochę więcej niż połowę katolickich uczniów pracujących w handlach.

Ale też jeśli kupcy poczciwie dbali o religijne wychowanie swoich uczniów, to ze strony ich rodziców mogliśmy zauważyć zaniedbanie zupełne tej najważniejszej strony życiowej w rozwoju ducha młodzieńczego. Owszem, rodziny wprost uniemożliwiały nawet chętnym spełnianie obowiązków religijnych. Stąd chłopcy, zostający na stancyach u swoich szefów, a dobierani przeważnie z porządniejszych z prowincyi rodzin, byli zawsze sumienniejszymi w spełnianiu obowiązków religijnych, podczas gdy dochodzący do sklepów tylko sporadycznymi. Stąd poziom moralny i edukacyjny tamtych wiele wyżej stał, niż tych. Rodzice, oddając dziecko na naukę kupiectwa, z bardzo małymi wyjątkami, zrzucają wogóle z siebie obowiązki wychowawcze, patrzą jeno na zarobek dziecka, a niestety nawet na niesumienne dostarczanie artykułów do ogniska rodzinnego. Chłopcy ci bez nadzoru, rozbawieni tak często po ulicach miasta, kinach i teatrach za wspólny grosz, uzupełniany wielokrotnie z kasy sklepowej, nie mogąc w chwilach rozwoju znaleźć środków równowagi ducha w rodzinie ani kościele, nie stanowią dobrego materyału zawodowego. Ponieważ są niesumienni, niezadowoleni, więc przewłóczą się z firmy do firmy, zmieniają nawet swój zawód i marnieją. Ale też jest to typ wyraźny wychowania półulicznego lub suterenowego. Jeśli zacność wyjątkowa i karność szefa sklepu nie przyjdą tu z pomocą, nie znajdą oni nigdy miejsca w uczciwem mieszczańskiem obywatelstwie: rodzice muszą zrozumieć swój obowiązek i spełnić go dla Boga i Ojczyzny.

W ciągu tej opieki religijnej ze strony Sodalicyi okazała się konieczność pewnej kontroli. Raz dla zdania sobie jasnego sprawy z pewnej trafności zarządzenia, powtóre dlatego, że wielu bardziej dbałych kupców od czasu do czasu żądało wiadomości o uczęszczaniu swych uczniów.

Jak się ta kontrola przedstawia?

Jest ona czysto koleżeńską. Kapłan, moderator Sodalicyi, ma oko nad wszystkiem, ale bezpośrednio wykonuje ją Sodalicya przez swój wydział, tj. starszych uczniów jako uznania i zaufania godniejszych, wybieranych przez grono kolegów. Oni prowadzą w każdą niedzielę katalog uczęszczających, pilnują porządku przy nabożeństwach i spowiedzi, odbierają kartki od spowiedników, liczą je i zdają sprawę na wydziale Sodalicyi. Dzieje się to z wielkiem obopólnem zadowoleniem i zaufaniem, dalekiem od rutyny przymusowej, a sumiennem. Utrzymuje to ducha koleżeńskiego, starszym jedna powagę i wprawia od młodości do spełniania sumiennego pozaobowiązkowych publicznych zobowiązań.

Tak się więc w czasie wojny przedstawia w naszem mieście opieka religijna nad uczniami handlowymi.

Nieszczęśliwe chwile, jakie społeczeństwo nasze przeżywa, stały się doskonałym probierzem wartości jego warstw i jednostek. Wojna pozostawi nam niejedną naukę. A najważniejszą z nich, że okazała wartość rzetelną sumienia i ludzi, niem się kierujących. Oni bowiem stanowią ostoję każdego narodu, którą samolubne cele podkopują, niszczą a hańbią na zewnątrz.

Ale sumienia bez zasad religijnych i wyższych a nadprzyrodzonych pobudek pojąć praktycznie — prawie że nie można. Stąd dziś większej potrzeba czujności pod względem wychowania młodzieży dla dobra przyszłości naszej ojczyzny. Obyśmy się doczekali tak pomyślnych czasów, by nauka religii znalazła się jako przedmiot obowiązkowy w planach regularnej nauki szkół handlowych, przynajmniej podobnie, jak to jest w praktycznych szkołach przemysłowych. Tymczasem wszyscy muszą sobie podać rękę.

W tym roku również od 12 listopada otwieramy znowu niedzielne egzorty dla uczniów handlowych, które odtąd co niedziela odbywać się będą regularnie o g. kwadrans na 1-szą w kościele OO. Jezuitów na Wesołej.

A mamy nadzieję, że obok życzliwości kupców i szkół handlowych, znajdziemy również upragnioną współpracę rodziców i opiekunów tych chłopców.

(„Przegląd Powszechny"). *X. Jarosław Rejowicz.*

Bibliografia.

Pększyc-Grudziński. **Zapiski porucznika**, opracował Juliusz Kaden-Bandrowski. Kraków. 1916. Nakładem Centralnego Biura wydawnictw N. K. N. 8-ka, str. 31 z rycinami w tekście.

Tak prędko bieży fala wojny, tak żywo spływa nurt krwi, że nie zawsze dojrzeć w nim można i ogółowi polskiemu przekazać skarb bezcenny, jaki wraz z tą falą nieznanym siłom pamięci powszechnej przekazuje los. Zapiski legionisty należy mierzyć tak, jak ruchy i czyny kogoś, kto pozostaje wobec ciągłego niebezpieczeństwa, stojąc na pograniczu życia i śmierci. Nie należy szukać w nich ani wybitnego słowa, ani większego gestu, znajdzie się tam natomiast bezcenną twardość słowa i celowość każdego poruszenia. Przymioty te składają się na typ nowego piękna, które nic o sobie nie mówi, lecz działa za siebie.

W piękno to obfitują pamiętniki, które znaleziono w tornistrze porucznika Grudzińskiego. Zaiste! Dawno takich pamiętników w Polsce nie było: pierwsze w nich miejsce i ostatnie zajmuje służba i złączone z nią sprawy.

Chcąc wysnuć wniosek o duszy Grudzińskiego z tego, co napisał w swoich notesach, powiedzieć musimy, że ta dusza żyła, żyć mogła tylko ideą i pracą, z najsurowszem pominięciem wszystkiego, co w elementach tej pracy i idei było znikome, doczesne i przemijające. Grudziński żył, patrząc prosto w słońce wzniosłego swego celu, którym była niepodległość Polski. To też pomimo licznych poważnych wątpliwości, które rodziły się w jego umyśle, zdumiewająca jest prostota, pozornie nawet oschła, z jaką brał udział w tych, równie tragicznych, jak romantycznych fazach obecnej wojny.

Książeczkę tę godzi się polecić najgoręcej naszej młodzieży. Może z niej nauczyć się, jak należy milczeć i działać, czyny stwierdzać, a nie chwalić się nimi. Może stąd przekonać się, jak wiele hartu i spokoju, powagi i jasności może towarzyszyć człowiekowi od pierwszych progów życia, o ile przestępuje je, myśląc o Bogu, Ojczyźnie i jej szczęściu. Bo śp. Pększyc-Grudziński był głęboko religijny. Niechże młodzież nasza, czytając te stronice, zauważy, jakiego to spoczynku zażywał Grudziński po trudach swych, gdy pisał na marginesie spraw służbowych:

Wszyscyśmy z jednej jani wyszli: Boga.
Dziś rozstrzeleni na jaźni tysiące,
Szukamy go znów w sobie... rzesza mnoga"...

Coś z Barszczanina było w tym człowieku... *Zet.*

Dodalek do art. X. Dra Jougana: Szkice na uroczystość jub. Kościuszki.

(Gaz. Kość. Nr. 39).

Pisze tu X. dr. Jougan na str. 459, co następuje: „W bibliografii kaznodziejstwa polskiego posiadamy zaledwie cztery mowy, wygłoszone przed stu laty przy obchodach żał. po zgonie Kościuszki". A dalej na str. 461: „Z pośród mów żałobnych wygłoszonych na nabożeństwach za duszę Kościuszki tuż po jego zgonie, a więc na schyłku r. 1817 dostała się do druku — obok poprzednio streszczonego kazania X. Łańcuckiego — jeszcze tylko przemowa X. Zakrzewskiego". Zakradły się tu pewne niedokładności, które chciałbym sprostować.

Najpierw wspaniałą mowę żałobną ku czci Kościuszki wygłosił X. Bernard Bibrowicz, pleban rzegociński, w katedrze poznańskiej 19. grudnia 1817 r.; wydano ją w Kaliszu u Mehwalda, (str. 16).

Dalej, mowa Zakrzewskiego wyszła rzeczywiście u Dekera i spółki w Poznaniu, lecz H. Zakrzewski nie był kapłanem. Był on prezesem Izby Administracyjnej kaliskiej i członkiem Rady Dep. Pozn., a że był świetnym mówcą, więc tego samego dnia, co X. Bibrowicz, mowę wygłosił w katedrze poznańskiej. W pół roku potem przemawiał również w katedrze na nabożeństwie za duszę H. Dąbrowskiego. (Por. Gaz. Wielk. Księstwa Pozn. z dnia 1. lipca 1818 r.).

Dodać jeszcze można, że w owym czasie 1817 r. wzgl. 18 r. głosili mowy jeszcze inni świeccy, jak St. Hr. Wodziński w Krakowie (wyszła drukiem) i Niemcewicz w Warszawie (również druk.).

Co do mów X. Łańcuckiego, nadmienić należy, że znajdują się i w zbiorowem wyd. X. Teodora Kilińskiego, kan. pozn. Poznań, 1856 r. A czy mowa X. Dzianottego, wygłoszona w Krakowie 1817 r. drukowana?

X. Nikodem Cieszyński, Poznań.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Koło zakłada bibliotekę dla uczniów. Uprasza więc Czcig. Współbraci, żeby raczyli obdarzać tę bibliotekę stósownemi dla młodzieży książkami, pod adr.: Ul. Piekarska 28, Czytelnia katolicka, Ognisko dla młodzieży polskiej szkół średnich.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Przydzielony do kursów naukowych w Opawie X. Józef Lehman, kat. szk. real. w Tarnopolu.

Dyecezya tarnowska.

Mianowany zastępcą katechety w szk. Kordeckiego we Lwowie X. Juliusz Urbański (neomysta).

Przeznaczeni: X. Dr. Józef Młodochowski do Pleśnej, X. Wojciech Białas do Wierzchosławic.

Korespondencya redakcyi.

X. M. w St.: Adres obecny X. kat. Lehmana: Opawa (Śląsk), Rudolfsg. 8, II. St.

X. W. P. w S. Dotąd można było dostawać nowy kodeks tylko przez Nuncyaturę wiedeńską, po przesłaniu ceny: 30 Koron. Teraz mają go już mieć niektóre księgarnie (we Lwowie nie).

X. S. w L. Kazanie o Świętych Obcowaniu nie nadaje się n. zd. do druku.

X. A. Cz. Artykułu nie możemy zamieścić.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.

Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.